

PIEŚŃ
i CIEŃ

PIEŚŃ i CIEŃ

Vanessa Mozdzer

Pieśń i Cień — Vanessa Moździerz

Copyright © by Vanessa Moździerz, 2025

Copyright © by Wydawnictwo vandom

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórcy.

Redakcja: Alicja Gajda

Korekta: Małgorzata Arażny

Okładka — pomysł: Michał Auchimik

Okładka — opracowanie graficzne: Vanessa Moździerz

Skład i łamanie: Tobiasz Małysa (www.grafista.pl)

Zdjęcie autorki: Patrycja Poterała / Sielanka Studio

Wydanie I

Warszawa 2025

Druk:

Drukarnia Abedik

ul. Gutenberga 5

62-023 Żerniki k. Poznania

Wydawnictwo vandom

(www.wydawnictwo.vandom.pl)

ISBN druk: 978-83-971733-3-0

ISBN e-book: 978-83-971733-4-7

*Rafałowi,
mojemu pierwszemu czytelnikowi,
który nigdy nie przestał wierzyć
ani we mnie, ani w tę historię*



Prolog

Słońce nieubłagane zmierzało na zachód, chowając się za wyszczerzonymi zębami murów upadłego zamku. Galicja podniosła głowę znad grządk, z której wycinała zioła. Zerknęła w niebo. Już czas wracać do domu. Spakowała rośliny i niewielki nożyk do brązowej, wysłużonej torby przewieszanej przez ramię. Z trudem podniosła się z klęczek. Czuła ból w wiekowych stawach. Powoli, z cichym jękiem, rozprostowała zgarbione plecy. Przesunęła wzrokiem po szarych ruinach. Nawet teraz, po tylu latach, gdy zamknęła oczy, mogła bez problemu przywołać obraz wysokich murów, grubych wież i garnizonu męźnych rycerzy strzegących zamku. Uśmiechnęła się lekko na wspomnienie Redena i jego syna Kirkora, panów Księżycowej Doliny, u których miała zaszczyt służyć.

Szybko otworzyła oczy. Westchnęła ciężko. To było dawno. Jeszcze przed upadkiem Gwiazdospadu i śmiercią młodego księcia. Teraz zostały jej już tylko wspomnienia.

Poprawiła torbę na ramieniu i pomiędzy wyłomami ruin spojrzała na zachód. Czerwona tarcza słońca zniżała się nad górami Sandren, które z tej odległości wyglądały jak szare, rozmyte pagórki. W przyływie wisielczego humoru pomyślała, że nawet słońce ucieka z Esten, chowając się za granicą królestwa. Parsknęła cichym śmiechem. Pokręciła głową i ruszyła w drogę powrotną do domu.

Chata nie stała daleko. Tuż na obrzeżach wioski. Galicja weszła na ścieżkę prowadzącą do drzwi frontowych. Mąż jej wnuczki był w ogrodzie, czyścił narzędzia. Minęła go bez słowa i weszła do izby. Flora uniosła wzrok znad wyrabianego właśnie ciasta na chleb, który będzie piekła rano. Uśmiechnęła się lekko do swojej babci.

– Dzieciaczki już śpią? – Galicja odwiesiła torbę z ziołami na kołek przy wejściu i uniosła kąciuki ust, z czułością myśląc o prawnukach.

– Czekają na bajkę.

Kobieta zaśmiała się cicho, a zmarszczki na jej twarzy się pogłębiły. Bez słowa weszła do małej izdebki na końcu chaty, gdzie na sienniku, przykryci kocem, leżeli chłopiec i dziewczynka o identycznych, słomianych włoskach i buziach jak dwie krople wody.

– Jeszcze nie śpicie? – Galicja chciała, by jej głos wybrzmiał naganą, ale uśmiech złagodził jej ton.

– Chcemy bajkę! – zawołała dziewczynka. – O księżniczce!

– A nie! Bo o rycerzu i smokach, i bitwach!

– Cisza! Zaraz matka tu wpadnie i po uszach dostaniecie, żeście jeszcze nie posnęli.

Dzieci posłusznie zamilkły i wlepiły wielkie, pełne prośby oczy w twarz swojej prababci. Westchnęła ciężko, kręcąc przy tym głową, ale zaraz uśmiech powrócił na jej twarz.

– Dobrze więc – zdecydowała. – Zaśpiewam wam piosenkę o księżniczce i rycerzu.

Dzieci pokiwały skwapliwie głowami. Staruszka zaczerpnęła tchu i zaskakująco czystym głosem zaintonowała:

W dalekim kraju, pośród Czarnych Drzew
Mieszkał potężny król, co miał synów trzech
Oraz córkę jedną jedyną, piękną –
Powabną i mądrą była królewną.
Pewnego razu, z dalekich wojen,
Pomiędzy Czarne Drzewa trafił człowiek.
Jego umysł, ciało zdobiły blizny,
Nowe rany zbliżały kres mężczyzny.

Córko elfów, piękna królewno Lasu,
Zielonymi oczami rzuciłaś czar,
Dostałaś serce księcia po kres czasu,
W Gwiazdy Spadku płonął miłości dar.

Król zlitował się nad tym nieszczęśnikiem,
Pozwolił córce leczyć go koszykiem
Pełnym ziół i popiołów, trawy i mchu,
By rycerz ozdrowiał i wyjechać mógł.

Mężczyzna ten odważny był i młody,
W świecie z wielkiej słynął urody.
Otworzył wreszcie swe niebieskie oczy,
Wyrwawszy się z gorączki mocy.

Córko elfów, piękna królewno Lasu,
Zielonymi oczami rzuciłaś czar,
Zabrałaś serce księcia po kres czasu,
W Gwiazdy Spadku płonął miłości dar.

Elfki oczy zielone rzuciły czar,
Zabrawszy serce rycerza jako dar.
Zabrawszy jego wolę i wolność,
Z serca przepędziły samotność.
„Byłam szczęśliwa wśród lasów zieleni,
A teraz widząc wodę, co się mieni
Błękitem niczym szafiry i niebo,
Myślę o oczach rycerza drogiego,
Który już zdrów i na powrót w stałi
Zabierze me serce, gdy się oddali”.

Córko elfów, piękna królewno Lasu,
Zielonymi oczami rzuciłaś czar,
Zabrałaś serce księcia po kres czasu,
W Gwiazdy Spadku płonął miłości dar.

Minęły lato i jesień, i zima,
Minęła wiosna, znów lato się zaczyna.
Pora już jechać do swych ziem, do ludzi,
Lecz rycerz z wyjazdem marudzi.
Poszedł do króla, błagał pokornie,
By pozwolił zabrać dziewczę nadobne
Ze sobą do pałacu, jako żonę,
I zapewnić jej mężowską ochronę.

Córko elfów, piękna królewno Lasu,
Zielonymi oczami rzuciłaś czar,
Dostałaś serce księcia po kres czasu,
W Gwiazdy Spadku płonął miłości dar.

Król Lasu zły był, smucił się, żałował.
Ręki córki odmówić próbował.
Lecz piękna królewna, zakochana,
Uczuciem do rycerza kierowana,
Gotowa była poświęcić dzieciństwa dom
Za miłość odpowiadającą snom.

Córko elfów, piękna królewno Lasu,
Zielonymi oczami rzuciłaś czar,
Zabrałaś serce księcia po kres czasu,
A rycerz zabrał ciebie w siną dal.

Przybywszy do Dolin z Księżycą,
Żyli wśród ludzi, czekając dziedzica.
Lecz szczęście ulotne jak puchowa chmura –
Płonie w swym zamku królewska córa.
Popioły wirują na silnym wietrze,
O upadku pałacu wicher szepcze.
Czarny Las szumi w straszliwej rozpacz,
Król swej córki już nigdy nie zobaczy.

Córko elfów, piękna królewno Lasu,
Zielonymi oczami rzuciłaś czar,
Chętnie odeszłaś z Czarnego Lasu,
Gwiazda spłonęła, po tobie został żal.

Umarł książę i umarła księżniczka,
Zginęła też ich młoda dziedziczka.
Las zapłakał czarnymi żalu łzami,
Elfy gardzą ludźmi już latami.
Nic nie ukoіło smutku króla,
Tęsknota jako najgorsza tortura.
Zamknął szczelnie las ciemny i straszny,
Żaden powód nie był na tyle ważny,
By człowiek samotnie czy w kompanii
Wkroczył w mroki Czarnych Drzew matni.

Córko elfów, piękna królewno Lasu,
Zielonymi oczami rzuciłaś czar,

Chętnie odeszłaś z Czarnego Lasu,
Gwiazda spłonęła, po tobie został żal.

Twe oczy zielone jako świeża trawa,
Odeszłaś, ukochana, jak cień, mara.
W ogniu gorącym i czerwonym jak krew
Umilkł twój delikatny głos, słodki śpiew.
A ja, rycerz, kiedyś piękny i młody,
Na którego rzuciłaś czar swej urody,
Błądząc po polach zielonych, umarły.
Szukam, lecz twe ślady płomienie zatarły.

Córko elfów, piękna królewno Lasu,
Twe zielone oczy zgasły, zniknęły.
Bólu mego nie ukoj upływ czasu.
Gwiazda upadła, jej mury runęły.

Dzieci zasnęły, nim skończyła pieśń. To dobrze. Końcówka zawsze ją smuciła. Ale te ostatnie zwrotki Galicja śpiewała już dla siebie.

Wstała z trudem. Otuliła dzieci, ucałowała ich czoła, zdmuchnęła świeczkę stojącą na podłodze. Po wyjściu z izby zamknęła za sobą skrzypiące drzwi i podeszła do bujanego fotela przy oknie. Usiadła w nim i westchnęła.

– Babciu – usłyszała głos od kuchni.

– Co tam, Floro?

– Ta piosenka, którą śpiewałaś... – Kobieta podeszła bliżej, wycierając spracowane dłonie o fartuch. – Czemu tak bardzo cię wzrusza? To tylko bajka.

– Nie bajka, dziecko. Prawda ubrana w piękne słowa. – Galicja ponownie westchnęła.

Flora milczała dłuższą chwilę.

– Pamiętam, że kiedyś, gdy byłam mała, płonął zamek.

Staruszka przytaknęła.

– Tak... Byłaś wtedy młodsza niż twoja mała Gulda. To było w roku, kiedy twoja biedna matka zmarła na suchoty.

– Czy to właśnie to? Ta piosenka opowiada o Gwiazdospadzie?

Staruszka skinęła ponownie.

– Ale ja pamiętam elfy. Znaczy... tak mi się zdaje, że to były elfy. Były ich setki. W pięknych zbrojach odbijających promienie słońca. Tak pięknie śpiewały...

– Były elfy, wnuczuś. Były. – Galicja pokiwała głową. – Może król Landon przyprowadził armię, bo czuł, że jego córka jest w niebezpieczeństwie? Nie wiem. Ale przybyły za późno. Zamek już się dopalał i jedyne, co mogły zrobić, to śpiewać pieśni żałobne. Wydaje mi się, że zabrały ją do domu. Ale nie jestem pewna.

– Ją? Znaczy ciało naszej księżnej pani Likeji?

– Nie, kochanie. Jej córkę. Naszą małą księżniczkę.

– Ależ babciu, wszyscy w zamku zginęli. Widzieliśmy, co z niego zostało. Zgliszcza ino, nic więcej. Była ledwie dzieckiem. Jak ja. Nie uciekłyby sama z zamku obłożonego wojskiem.

Galicja westchnęła i przetarła dłonią oczy. Za dużo śmierci widziała w swoim życiu. Była zmęczona. Tak bardzo zmęczona.

– Może i masz rację. – Wzruszyła ramionami zrezygnowana. – Ale ja ciągle mam nadzieję, że nasza malutka księżniczka przeżyła. Była taka piękna... Wolę myśleć, że żyje gdzieś szczęśliwa, niż że jej szkielec dawno obrócił się w proch w tych ruinach.

– Teraz mamy nowego pana. – Na twarzy młodej kobiety zagościł grymas i bez przekonania dodała: – Lord Namir nie jest taki zły... Podobno w innych włościach panowie gorzej traktują swoich poddanych.

Galicja pokręciła głową.

– Ja długo już nie pożyję, ale dla dobra twego i twych pociech codziennie modłę się do bogów, by pewnego dnia nasza prawowita dziedziczka powróciła.

– Idź już spać lepiej, babuś. Nie trać czasu na mrzonki.

Niedaleko od domu, w ruinach starego zamku zgasły ostatnie promienie słońca. Wiatr zagwizdał między szczyrbatymi murami. Czy to śmiech? Wiatr ustał. Echa ucichły.

Rozdział 1

Kastor zarzucił kaptur na głowę i przyspieszył kroku. Nie chciał być w dzielnicy biedoty po zachodzie słońca. Podszedł do wylotu uliczki wciśniętej między dwoma obdrapanymi budynkami i rozejrzał się czujnie. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć w zapadającym zmroku.

Pusto.

Jeszcze raz spojrzął w lewo, ruszając na prawo, i wtedy usłyszał mokre plaśnięcie, a do jego nozdrzy doleciał ohydny smród zruszonego rynsztoka. Zerknął pod nogi i z obrzydzeniem wykrzywił wąskie usta. Cofnął się o krok, pochylił lekko i przyjrzał swojemu skórzanemu, wysokiemu butowi, który jeszcze chwilę temu był tak samo zakurzony jak lewy. Teraz lśnił niezdrowym połyskiem miejskich nieczystości. Kastor przeklął pod nosem. Dobrze, że buty były nowe i wysokie. Przynajmniej stopę miał nadal suchą.

Podszedł kawałek dalej, na środek ubitej drogi, i spróbował lewą nogą wzbić trochę piasku na prawy but. Bez efektu. Ziemia była zbyt twardo sprasowana niezliczoną ilością stóp i kopyt przemierzających ulice miasta każdego dnia.

Szelest. Dochodził gdzieś z boku. Kastor poderwał głowę, napiął mięśnie nóg, gotowy zaatakować lub uskoczyć. Jego ręka odruchowo powędrowała pod poły nowego płaszcza i odszukała sztylet. Zaciśnął palce na rękojeści i rozejrzał się czujnie. Nikogo w zasięgu wzroku. Nasłuchiwał. Długo nic, aż wreszcie szelest się powtórzył. Kastor błyskawicznie skierował wzrok w stronę dźwięku. W cieniu kolejnego budynku piętrzyła się sterta śmieci, a zaraz obok rosła niewielka kępka trawy. I znów ten szelest.

Stare płótna i resztki warzyw uniosły się na kilka cali, jakby nagle odpady nabrały powietrza, a chwilę potem opadły z łoskotem wprost na drogę. Spod śmieci, niczym z procy, wyskoczył dorodny szczur i przeciąwszy ulicę, zniknął w mroku dogasającego dnia.

Kastor rozluźnił się. Puścił sztylet i podszedł do kępki trawy, po czym wytarł o nią prawy but. Obejrzał efekt swoich wysiłków. Cóż... musi wystarczyć. Nie miał teraz głowy do przejmowania się garderobą.

Miał już dość miast takich jak Tylen. Chciał stąd odjechać najszybciej, jak się da. Zerknął na niebo. Słońce już na dobre schowało się za budynkami. Dobrze, że do wschodniej bramy miał niedaleko.

Ruszył szybkim krokiem przed siebie. Minał jeszcze dwa skrzyżowania, nim wreszcie dostrzegł drewniany, wyszczerbiony szyld na dwóch skrzypiących łańcuchach, tuż nad wejściem do karczmy. Gdy tylko pchnął grube drzwi, jego uszy momentalnie zaatakował gwar rozmów, kontrastujący z ciszą ulicy, na której Kastor stał jeszcze przed chwilą. Mimowolnie się skrzywił. Lekko zmrużył oczy i rozejrzał się po wnętrzu. Karczma była duża i najwyraźniej popularna. Stało w niej, na oko, około dwadzieścia sporych stołów i wszystkie były zajęte. Usta Kastora wygięły się w nieprzyjemnym grymasie. Powiedziano mu, że tutaj znajdzie przewodnika i rozpozna go bez problemu. Ale w tym tłumie? Większość mężczyzn była w średnim wieku, a koloru włosów nie da się ocenić w półmroku. Opis, który mu podano, był zbyt ogólny. Kastor nie miał zamiaru robić z siebie idioty i pytać każdego obecnego w sali o imię.

Odrzucił kaptur i przeczesał palcami krótkie, kruczoczarne włosy. Nikt w karczmie nie zwrócił na niego uwagi, więc powoli ruszył w stronę kontuaru, przepychając się między gośćmi tego średniej klasy przybytku. Oparł się przedramionami o drewniany, wysłużony blat i skinieniem głowy przywołał karczmarza.

Chudy mężczyzna o rozbieganych oczach podszedł z ociąganiem. Kastor wyciągnął z mieszka przy pasie cztery monety. Dwie z nich położył na wypolerowanym drewnie.

– Podaj mi piwo. Tylko z tych lepszych, a nie szczyzny, które zwykle lejesz przyjezdnym.

Karczmarz nadał chude policzki i wyprostował się gwałtownie.

– Coś ty, panie! U mnie tylko dobre piwo lane!

Kastor uraczył go sceptycznym spojrzeniem.

– Mam uwierzyć, że każdemu, kto wkracza do miasta przez wschodnią bramę i płaci miedziakami, serwujesz najlepsze piwo, jakie masz? – Nie

czekał na odpowiedź i tym razem znacznie twardszym głosem powtórzył: – Podaj mi piwo. To lepsze.

Mężczyzna bez słowa skinął głową i nachylił się do beczki pod kontuarem. Gdy stawiał na nim kufel, najemnik rzucił na drewniany blat dodatkowe dwie monety.

– A to za informację.

Gospodarz wykrzywił usta w grymasie, który chyba miał przypominać złośliwy uśmiech.

– Nie jesteś stąd, co?

– Skąd taki wniosek?

– Lokalni nie płacą za informacje. Co najwyżej zdobywają je pięściami.

– Jeżeli tak wolisz... – Kastor wyciągnął dłoń w stronę monet, lecz nim zdążył je zabrać, sprawna ręka karczmarza zgarnęła je z kontuaru.

– Monety to miła odmiana – usłyszał i skinął głową.

– Szukam przewodnika. Kupca.

Karczmarz zaśmiał się krótko i wskazał brodą gości za plecami Kastora.

– Wybierz sobie któregoś. Wszyscy kupcy. A i pewnie niejeden z nich bawi się w przewodnika.

– A Bonero znasz?

Karczmarz prychnął pod nosem.

– Tego starego gadułę? Pewnie. Uwielbia opowiadać niestworzone historie, gdy tylko ktoś zechce go słuchać. Ale mówią o nim, że ma trochę poprzestawiane klepki w głowie, jeżeli wiesz, panie, co mam na myśli.

Kastor zaczął bębnić palcami o blat.

– Jest tu dzisiaj czy nie?

– Ano jest. Siedzi tam. – Karczmarz wskazał chudym palcem na salę. Kastor się obejrzał. – Widzisz tę grupę w rogu? Bonero to ten, co najwięcej gada.

Kastor bez słowa zabrał kufel z piwem i ruszył w kierunku stolika, przy którym zasiadało pięciu mężczyzn. Dyskutowali o czymś głośno, ale przez ogólny gwar w karczmie nie był w stanie rozróżnić poszczególnych słów. Przez salę szedł wolno, przeciskając się między stolikami

i przyglądając się tym, do których zmierzał. Dwóch wyglądało na dwadzieścia kilka lat. Mogli być w wieku Kastora. Tych wykluczył od razu. Jeden miał długie, ciemne włosy. To też nie pasowało do opisu, który otrzymał. Więc albo to ten blondyn z brodą, albo ten siedzący tyłem.

– Witam. – Staął przy stoliku i nieznacznie skinął głową.

Wszyscy mężczyźni spojrzeli wprost na niego z wyraźnym zaciekawieniem. Żaden się jednak nie odezwał.

– Poszukuję Bonero.

Kupiec z jasnymi włosami, gęsto przetykanymi siwizną, który do tej pory siedział tyłem, odchrząknął cicho.

– Jam Bonero.

– Czy możemy porozmawiać na uboczu? Mam interes do omówienia.

Kupiec zmierzył Kastora spojrzeniem, które ten mógłby najlepiej określić jako oceniające. Chyba inspekcja wypadła pomyślnie, bo mężczyzna ledwie dostrzegalnie skinął głową. Potem odwrócił się do swoich towarzyszy i sztucznie wesołym głosem zawołał:

– Cóż, panowie, praca dopadła mnie nawet w wolny wieczór! Dokończę swoją opowieść następnym razem.

Kastor odsunął się o krok, by zrobić miejsce wstającemu od stołu Bonero. Bez słowa podążył za nim, gdy ten już chwycił swój kufel i pewnie ruszył przez pomieszczenie. Zatrzymali się w kącie, przy stoliku pod schodami, którego Kastor wcześniej nie zauważył. To musiał być jedyny pusty stolik w tym przybytku.

– A zatem, panie... – zaczął Bonero, siadając na drewnianym krześle ustawionym przodem do sali.

Kastor nie lubił mieć drzwi za plecami. Zwłaszcza w tak dużym pomieszczeniu. Chwycił oparcie drugiego siedziska i przesunął je w bok, pod ścianę. Usiadł obok kupca i w półmroku przyjrzał się jego twarzy. Miał wrażenie, że przez ulotną chwilę na ustach starszego mężczyzny zagościł domyślny uśmiech, ale to odczucie szybko minęło.

– Kastor – przedstawił się.

– A zatem, panie Kastorze, czym mogę służyć?

– Sam Kastor wystarczy.

Kupiec milcząco skinął głową.

– Poszukuję przewodnika. Podróżuję do Kerbos – dodał.

Łagodny, czy wręcz dobrotliwy uśmiech nie schodził z ust Bonero. Nie odrywając spojrzenia od jego twarzy, Kastor oparł się na krześle, z pozoru zrelaksowany, ale mięśnie wciąż miał napięte. Na wszelki wypadek. Coś w wyglądzie i zachowaniu tego mężczyzny mu nie pasowało. Jakiś wewnętrzny instynkt, na którym nauczył się polegać, podpowiadał, że to wesołe gadulstwo Bonero to tylko fasada.

– Do Kerbos, mówisz... – Kupiec zakręcił płynem w swoim kuflu, na kilka chwil spuszcając na niego spojrzenie. Wreszcie wzruszył ramionami i podniósł wzrok na Kastora. – Droga wydaje się prosta. Nie bardzo rozumiem, po co ci przewodnik. Wyjedziesz bramą północną z Tylen prosto na trakt biegnący przez Stepy Południowe, będziesz się trzymał ubitej ścieżki i oznakowań, to za około dwa tygodnie powinieneś dotrzeć na miejsce.

– To za późno. Zależy mi na czasie – wyjaśnił Kastor.

– Dlaczego?

– Ja płacę złotem, a ty nie pytasz.

Sięgnął pod poły płaszcza i z kieszeni kubraka wyciągnął okazały mieszek. Drgnął z zaskoczenia, gdy starszy mężczyzna w locie chwycił rzuconą mu sakiewkę. Nie spodziewał się po nim takiego refleksu.

– Dokądkolwiek zechcesz.

Szeroki, pełen uniżenia uśmiech, który wykrzywił usta Bonero, wywołał w Kastorze obrzydzenie. Mężczyzna natychmiast spoważniał i wyprostował się na krześle. Czyżby jednak źle wybrał przewodnika? Trudno... Ostatecznie nie miał za bardzo spośród kogo wybierać, jeżeli zależało mu na tym konkretnym kierunku podróży. Do Kerbos sam by trafił. Bywał tam wielokrotnie i doskonale znał trasę przez Stepy. Ale jemu nie chodziło o cel, tylko o samą drogę.

– Ciesz się mój entuzjazm. – Rozparł się na krześle i pokiwał głową z uznaniem. – Mało kto tak spokojnie przyjmuje perspektywę podróży przez Czarny Las.

Bonero zakrztusił się piwem.

– Słucham?! Czarny Las? – Energicznie pokręcił głową i z hukiem odstawił kufel na blat. – O tym nie było mowy. – Odrzucił mieszek.

Kastor złapał woreczek jedną ręką i odłożył go na stół.

– Och? Czyżby to był problem? – zapytał niewinnie.

– Problem? Problem?! – Bonero pokręcił głową i potarł ręką czoło, jakby wycierał pot, ale Kastor nie dojrzał na jego skórze nawet kropelki. – Mam życie, z którego jestem zadowolony. Mam pracę, którą lubię i na której zarabiam. Naprawdę myślisz, że mógłbym cieszyć się z perspektywy podróży w granicach Czarnego Lasu? Myślisz, że życie mi niemiłe?

Kastor przez dłuższą chwilę milczał, dokładnie przyglądając się twarzy przewodnika.

– Kłamiesz – stwierdził wreszcie bardzo cicho.

Bonero zamrugał raptownie. Wyraz świętego oburzenia zastąpił wcześniejszą grozę.

– Słucham? – Głos kupca wydał się o ton za wysoki. – Nie będę tu siedział i słuchał, jak mnie obrażają. To ty przyszedłeś do mnie, a nie na odwrót. Jeżeli jesteś takim szaleńcem, by podróżować przez Czarny Las, droga wolna. Życzę miłej reszty życia. Bo nie będzie za długa. – Bonero jednym haustem dopił zawartość kufła i wstał z rozmachem, szykując się do odejścia.

– Jeżeli to nie ty kłamiesz... to zrobił to Rejbat.

Bonero zamarł. Jego brązowe oczy pociemniały, a z twarzy zniknęła wszelki wyraz, skryty pod kamienną, nieprzeniknioną maską. Kastor zaśmiał się krótko, a potem wskazał mu krzesło, które ten przed chwilą opuścił. Kupiec usiadł powoli, ostrożnie, nie spuszczaając wzroku z rozmówcy.

– Powiem ci, Bonero, bo chyba mogę ci mówić po imieniu? Uwielbiam obserwować reakcję ludzi, gdy wspominam to miejsce. Czarny Las. – Uśmiech na twarzy Kastora stał się szerszy, nadając mu zwodniczo niegroźny wygląd. – Nazwa tego królestwa na większość ludzi działała jak zaklęcie. – Pochylił się do przodu, opierając przedramiona na blacie stolika. Ściszył głos do konspiracyjnego szeptu. – Zupełnie jakby ktoś rzucał na nich klątwę. Najpierw na twarzach pojawia się zdziwienie. No bo kto w dzisiejszych czasach wspomina tego sąsiada Esten, o którym się przecież nie mówi? A potem szok. Bo jednak ktoś śmiał wypowiedzieć na głos nazwę królestwa elfów. Wiesz, co potem robi większość ludzi? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. – Wykonują

w powietrzu jakieś dziwne znaki ochronne. Chwytają za amulety albo guziki. Choć co ma to dać, to do dziś nie wiem. Niektórzy wzywają bogów. Najczęściej Imoni. Tego też nie rozumiem. Czy nie jest to bóg niewinnych? – Pokręcił głową. – Może wszyscy się za takich uważają...

– Imoni to też bóg, który prowadzi zmarłych w zaświaty – dodał cicho Bonero. Z jego głosu zniknęło wszelkie rozbawienie.

W oczach kupca Kastor dostrzegł rezerwę, a w postawie czujne napięcie.

– Tak... Niektórzy utożsamiają Czarny Las ze śmiercią.

– Nie bez przyczyny. Nie wiem, co słyszałeś na temat tego miejsca, ale ja tam byłem. I do dziś dziękuję bogom, że wyszedłem stamtąd żywy. To, co widziałem... – Bonero pokręcił głową.

Kastor się ożywił. Chciał wiedzieć więcej na temat tego tajemniczego królestwa i legend, które o nim słyszał. A słyszał ich niemało. Zastanawiał się nieraz, ile było w nich prawdy.

– Tak? – dopytał niecierpliwie.

Bonero otrząsał się z zamyślenia, a jego czoło przecięły głębokie zmarszczki.

– Rejbat – zmienił temat. – Skąd się znacie?

Kastor westchnął cicho.

– Można powiedzieć, że obracamy się w podobnym środowisku.

– Jesteś najemnikiem? Też podrzynasz gardła w ciemnej uliczce za odpowiednią opłatą?

– Jestem najemnikiem, tak. Ale na pewno nie sztyletem do wynajęcia.

Kupiec splótł dłonie i ułożył je na stole ostrożnym, wyważonym ruchem. Wyglądał na opanowanego, ale nie dał rady ukryć, jak od zaciskania palców nagle pobielały mu knykcie.

– Więc... Kastorze... co takiego Rejbat ci powiedział?

Kastor milczał chwilę tylko po to, by wzmoczyć jego niepokój. Widząc, jak starszy mężczyzna pulsacyjnie zaciska i rozprostowuje palce splecionych dłoni, wiedział, że osiągnął swój cel.

– Podobno podróżujesz przez Czarny Las regularnie. A mnie zależy, by jechać akurat tą trasą.

– Nie regularnie i na pewno nie przez Czarny Las. Ale fakt... podróżuję... w pobliżu. – Bonero westchnął i po raz pierwszy, odkąd padła

nazwa królestwa elfów, oparł się o krzesło. – Nic dziwnego, że nie mogłeś znaleźć przewodnika. Prawie nikt nie chce już jeździć tamtym traktem. Wolą nadłożyć drogi, ale bezpiecznie dotrzeć do celu. Skoro chcesz, poprowadzę cię skrótem. Uprzedzam, że do lasu nie wjedziemy dalej, niż to absolutnie konieczne.

Kastor powoli skinął głową, by pokazać, że słucha uważnie.

– To inne królestwo, a nieproszeni goście nie są mile widziani. Okrążymy puszcę, w paru miejscach ją przetniemy, ale zawsze, gdy będziemy w obrębie drzew, masz mnie bezwzględnie słuchać, jasne?

Na dźwięk tych słów najemnik uniósł brew. To było coś nowego. Już od bardzo dawna nie wykonywał niczych rozkazów. I teraz też nie zamierzał.

– Powiedzmy, że wysłucham rady.

– Rady? – prychnął Bonero. – A swoje życie lubisz? Bo jeżeli tak, to lepiej, byś mnie słuchał.

Kastor z ociąganiem skinął głową.

– Niech będzie.

– Powinniśmy skrócić podróż do pięciu, może siedmiu dni. Kiedy chcesz wyruszyć? – spytał Bonero nieco swobodniejszym tonem.

– Jutro. Najdalej pojutrze skoro świt. Oprócz mnie jest jeszcze trzech mężczyzn.

– W takim razie ze mną pojedzie siostrzeniec, jeżeli nie masz nic przeciwko. Obiecałem zabrać go w swoją następną podróż. Ma czternaście lat, więc jest już prawie mężczyzną.

Kastorowi było wszystko jedno. On sam swoją pierwszą poważną wyprawę odbył w wieku lat jedenastu. Obecność chłopaka nie będzie mu zawadzać. Mimo to musiał zapytać:

– A nie boisz się zabierać swego siostrzeńca w tak niebezpieczną podróż do tego strasznego kraju?

– Możesz darować sobie ironię. Jak już mówiłem, do lasu nie wjedziemy dalej, niż to konieczne. Poza tym będę miał ciebie i trzech zbrojnych do obrony, prawda?

– A myślałem, że to ja wynajmuję ciebie, a nie na odwrót.

Bonero uśmiechnął się lekko.

– Dolicz to do kosztów podróży pod moim przewodnictwem. I nasz rachunek będzie się zgadzał.

Kastor przytaknął bez słowa.

– Jeżeli mamy jechać koło Czarnego Lasu, muszę zebrać parę rzeczy – usłyszał jeszcze.

– Zatem pojutrze o świcie. Ruszymy spod zachodniej bramy. Będziesz przewoził jakieś towary?

– Jeżeli ci to nie przeszkadza, to chętnie. Nie bardzo chcę zostawiać swoje tkaniny w tutejszych magazynach.

– W porządku. Mów wszystkim, że wynająłeś nas do ochrony. Jeżeli ktoś będzie się tym interesował.

Kastor dopił resztkę piwa i odstawił kufel na stół. Wstał, pożegnał się krótko i ruszył do wyjścia. Postąpił ledwie dwa kroki, gdy za plecami usłyszał szept:

– Czarny Las...

Coś w tonie głosu go zaintrygowało. Obejrzał się przez ramię. Bonero dalej siedział przy stoliku, zapatrzony w owalny medalion, który trzymał w dłoni, a którego złoty łańcuszek zwisał mu na szyi. Medalion ten Kastorowi skojarzył się z miniaturowymi portretami, jakie zwykli zamawiać u artystów szlachcice. Zazwyczaj przedstawiały one ukochaną osobę. Zapewne i tym razem nie było inaczej.

Twarz Bonero złagodniała, a na jego usta wypłynął smutny, pełen tęsknoty uśmiech. Kupiec pogładził opuszką powierzchnię medalionu i westchnął.

– Tyle lat... – Jego szept ledwie przebił się przez gwar w karczmie i dotarł do uszu Kastora.

Najemnik mocno zmarszczył brwi. Czy cały ten lęk i liczne przestrogi były tylko wystudiowaną grą? Tylko po co? Może czas pokaże...

Obrócił się plecami do kupca i przebrnął przez tłum do wyjścia z karczmy.

*

Kastor obudził się tuż przed świtem. Przekręcił się na twardym, wysłużonym sienniku w gospodzie i spojrzał przez brudne okno. Niebo

powoli jaśniało, ale miał jeszcze czas. Jeżeli Bonero się nie mylił, to w ciągu tygodnia dotrą do celu.

Opadł na plecy i przymknął powieki. Mógł jeszcze chwilę pospać.

Jego umysł, zupełnie nieproszony, przywołał twarz ojca. Rozczarowanie w jego oczach.

Kastor usiadł gwałtownie. Dość spania. Wstał szybko i zarzucił na nagie ciało przygotowane wieczorem ubranie. Gdy wciągał spodnie, poczuł pieczenie. Spojrzał na udo. Świeża rana po sztylcie już prawie się zagoiła, ale musiał uważać, by nie zerwać strupa. Tak czy inaczej będzie blizna. Następna do kolekcji.

W myślach przebiegł listę spraw, które należało załatwić przed wyjazdem. Zapasy były uzupełnione i spakowane, konie podkute, wypoczęte i gotowe do drogi. Pakunek? Kastor podszedł do swojej sakwy i przejrzał zawartość. Na dnie znalazł niewielkie zawiniątko przewiązane taśmą i zalakowane herbem Androna. Uśmiechnął się na to słowo. Herb. Pokręcił głową. Andron mógł sobie wymyślać znaczki i insygnia do woli, ale to nigdy nie uczyni szlachcica z nowobogackiego mieszcza. Co on mógł wiedzieć o herbach? Żałosne. Ojciec Kastora zawsze powtarzał, że ich dewiza...

Nie. Nie będzie myślał o ojcu. Ani o matce. A już na pewno nie o łzach w jej oczach, gdy po ostatnim pobycie w domu wyjechał szybciej, niż planował. Obiecał jej, że gdy przyjedzie następnym razem, poszuka sobie żony. I zostanie. Ale kłamał. Oboje o tym wiedzieli. To nie była pierwsza tego typu obietnica, którą złożył. Każdy kolejny wyjazd miał być tym ostatnim. Każde kolejne zlecenie – zwieńczeniem jego legendy. A jednak... czuł niedosyt. Nie chciał rezygnować z życia, jakie wybrał, na rzecz życia, jakiego od niego oczekiwano.

Poza tym miał braci, którzy mogli przejąć schedę po ojcu. A on mógł wieść życie takie, jakie chciał.

No i pozostawała jeszcze kwestia nakazu aresztowania, jaki wydał na niego lord Namir Lockreen... Ojciec mówił, że gdy tylko Kastor wróci, razem udadzą się do zamku Namiestnika Księżycowej Doliny i wyblągają u niego ułaskawienie. Na samą myśl Kastora przechodziły ciarki obrzydzenia. Miałby się płaszczyć przed Namirem i na kolanach błagać o wybaczenie za to, że nie chciał umierać w jakiejś

bezsensownej bitwie o nic, w imieniu pierwszego lepszego utytułowanego głupca? To właśnie miał być rycerski honor?

Gdy Kastor postanowił porzucić stan rycerski i wyruszyć w świat, udał się do Namira i poprosił o zwolnienie z przysięgi lennei. Namiestnik odmówił. Błąd Kastora polegał na tym, że nie potrafił w porę ugryźć się w język i powiedział o kilka gorzkich słów za dużo. W konsekwencji z domu musiał wyjechać jeszcze tej samej nocy. Wiedział, że gniew lorda Lockreen jest gwałtowny. Gdyby wtedy Kastor został we dworze Vegar, następnego dnia spałby już w lochach pod zamkiem namiestnika.

Ojciec mówił o udaniu się do pana Księżycowej Doliny za każdym razem, gdy Kastor wracał do domu. Nigdy go jednak na to nie namówił.

Dopakował sakwę i zlustrował spojrzeniem niewielkie pomieszczenie, upewniając się, że zabrał wszystko. Bez żalu opuszczał gospodę i Tylen. Nie lubił tego ciasnego, pełnego oszustów miasta. Pamiątka w postaci świeżej blizny na nodze będzie mu o tym dosadnie przypominać.

Wyszedł na ulicę i rozejrzał się. Pusto. Widocznie złodzieje, którzy próbują odciąć sakiewkę od pasa sztyletem, nie wychodzą na łowy przed południem. Pokręcił głową. Gdyby nie wytrenowany refleks, straciłby mieszek z całym zarobkiem za to zlecenie. Niewielka rana na nodze to niska cena za ocalenie pieniędzy. Ten mały szczur, który próbował go okraść, miał szczęście, że był taki szybki.

Kastor miewał już różne zlecenia, ale to wydawało mu się wyjątkowo łatwe. Wystarczyło, by przewiózł niewielką paczuszkę od jednego szlachcica, niejakiego Androna, do innego, imieniem Opello. Z tego, co mu powiedziano, wiózł prezent zaręczynowy stanowiący jednocześnie pierwszą część zapłaty za rękę córki Opella. Nie miał pojęcia, dlaczego do tak błahego zadania wynajęto znanego najemnika i na dodatek przydzielono mu eskortę trzech zbrojnych, ale póki dostawał sowitą zapłatę, nie zamierzał się skarżyć. No i miał pretekst, by w końcu podróżować koło mrocznego królestwa elfów.

Czarny Las. Kraj od lat owiany tajemnicą. Prości ludzie lubili z trwogą opowiadać historie o tych, którzy wkroczyli między drzewa i już nigdy nie powrócili. Ale podejrzewał, że w większości wypadków to

po prostu bajki, które ubarwiano przy każdym kolejnym powtórzeniu. W miastach Esten też można było spotkać elfy. Nie było ich wiele, ale jednak część z nich osiedliła się w tym kraju. I zdecydowanie nie były krwiożerczymi potworami, jakie wyłaniały się z ludowych legend. Jeszcze w dzieciństwie uczono go historii czterech królestw oraz przekazano niejasne fakty i legendy dotyczące samego Czarnego Lasu, ale Kastor nigdy jeszcze nie miał okazji sprawdzić prawdziwości tych opowieści.

Pod zachodnią bramę dotarł niedługo po wschodzie słońca. Jego trzech kompani czekali już z osiodłanymi końmi. Gdy cicho wyłonił się z cienia wąskiej uliczki, mężczyźni przerwali rozmowę i obrzucili go lękliwymi spojrzeniami. Kastor skinął im głową i bez słowa przytroczył bagaż do siodła swojego wierzchowca. Ciekawe, co Andron im powiedział. Musiał nieźle podkoloryzować i tak już dobrze wybujałą legendę Kastora. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że od trzech dni, od chwili, gdy się poznali, mężczyźni sprawiali wrażenie, jakby podróżowali z samym Varro? Kastor uśmiechnął się pod nosem. Dobrze, że nie wierzył w bogów. Gdyby było inaczej, pewnie za porównanie się do pana wojny i opiekuna szlachetnych rycerzy piorun zabiłby go na miejscu. Nawet jeżeli porównanie to było wypowiedziane tylko w myślach.

– Gotowi? – zapytał, odwracając się do towarzyszy podróży.

Wszyscy pokiwali głowami. Najstarszy z nich, Kejlok, odchrząknął głośno. Kastor tylko uniósł brwi i czekał.

– Czy to prawda, że mamy jechać koło Czarnego Lasu? – Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę. Pozostali wlepili wzrok w najemnika. – Nie jestem pewien, czy wczoraj wieczorem dobrze zrozumiałem. Trochę już wypilem i dziś mam wątpliwości, czy...

– Tak – przerwał Kastor. – Będziemy jechać koło Czarnego Lasu. Częściowo również między drzewami.

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, zza zakrętu wyłonił się ciągnięty przez masywnego wałacha drewniany wóz wyładowany paczkami owiniętymi szarym papierem i kocami. Do tylnej belki wozu przywiązany był dodatkowy luzak. Na koźle siedział Bonero, a obok niego szczupły, młody chłopak o pryszczatej twarzy.

– Postanowiłeś zabrać cały swój dobytek? – zapytał Kastor zamiast przywitania, gdy wóz podjechał pod samą bramę.

– Tobie też dzień dobry. – Bonero nieznacznie wykrzywił usta w grymasie niezadowolenia. – Zdaje się, że o tym rozmawialiśmy. Mówiłem, że nie chcę zostawiać towarów w magazynach Tylen.

– Prawda – przyznał powoli Kastor. – Ale nie spodziewałem się, że masz tego aż tyle.

Kupiec wzruszył ramionami i skromie spuścił głowę.

– Cóż mogę rzec... Nie chcę się chwalić, ale interes kwitnie. A skoro jedziemy grupą, bezpieczniejszego transportu już mieć nie będę. Zabrałem więc co cenniejsze towary.

– W porządku – mruknął Kastor.

Nie był szczególnie zadowolony. Z jednej strony wóz tak obciążony będzie ich opóźniał w trasie. Ale z drugiej, gdyby wybrał zwykłą drogę przez Stepy, straciłby dodatkowy tydzień. I tak był więc do przodu względem pierwotnego planu.

Prowadzenie dalszej dyskusji było bezcelowe. Kastor wskoczył na siodło swojego wierzchowca i skinął głową pozostałym mężczyznom. Gdy reszta kompanii dosiadała koni, za sobą usłyszał szept:

– Kto to?

– Mój pracodawca. – W głosie Bonero słychać było sarkazm.

Kastor obejrzał się przez ramię. Chłopak wyraźnie zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc.

– Kto? – powtórzył głosem na granicy mutacji.

– Wynajął mnie na przewodnika – westchnął Bonero. – Setnan, pamiętasz chyba, co mówiłem twojej matce?

Kastor uśmiechnął się pod nosem, zobaczywszy, jak młodzieniec energicznie pokiwał głową.

– Nie dodałem jednak, że pojedziemy krótszą drogą koło Czarnego Lasu, a nie przez Stepy.

– Naprawdę? – zapytał chłopak. W jego głosie słychać było strach pomieszany z ekscytacją. – Wjedziemy do Czarnego Lasu?

– Tak. – Dziecinna reakcja siostrzeńca wyraźnie rozbawiła Bonero. – Będziemy przejeżdżać tuż pod jego granicami, a część traktu biegnie między drzewami.

Kastor zobaczył jeszcze, jak usta chłopaka rozwierają się szeroko. Pokręcił na to głową i wyprostował się w siodle. Dał znak do wymarszu.

*

Kolejne staje pokonali, niewiele rozmawiając. Nim słońce stanęło wysoko w zenicie, znaleźli się na rozstaju dróg. Bonero skręcił w lewo, na trakt prowadzący ku zachodowi. Kastor wysforował się na przód kolumny. Kejlok jechał koło wozu i prowadził ożywioną rozmowę z Setnanem. Pozostali trzymali się z tyłu.

– Zbliżamy się – powiedział Bonero kilka godzin później na tyle donośnie, by wszyscy go usłyszeli.

Kastor utkwiał wzrok w horyzoncie. Podjeżdżali właśnie pod dość stromy pagórek i niewiele było widać, lecz gdy tylko dotarli na szczyt, tuż przed nimi wyrósł gęsty, ciemny las. Linia drzew rozciągała się niemal na całym horyzoncie, groźna i odstraszaająca. Kastor uśmiechnął się mimowolnie. Serce zabiło mu szybciej. Ogarnęła go nagła ekscytacja. W miarę jak podjeżdżali bliżej, drzewa stawały się coraz bardziej mroczne i monumentalne.

Usłyszał za sobą głośne westchnienie chłopaka siedzącego na wozie. Obejrzał się. Na twarzach Setnana i swojej eskorty widział zachwyt pomieszany ze strachem. Ale nie u Bonero. Twarz kupca wyrażała melancholijną radość. Tęsknotę.

– Jak dobrze znów tu być – powiedział do siebie.

– Hm? – mruknął Setnan. – Mówiłeś coś, wuju?

– Co? A tak. Wspomniałem, że nim zajdzie słońce, powinniśmy stanąć w linii drzew.

Kastor spojrzał na puszcę, do której nieuchronnie się zbliżali. Jakie tajemnice mogły kryć się w tych drzewach o pniach tak ciemnych, że niemal czarnych? Nigdzie na całym kontynencie takich nie widział. Wysokich, grubych, z potężnymi konarami i liśćmi rosnącymi tak gęsto, że prawie w ogóle nie przepuszczały światła słonecznego. Tylko w Czarnym Lesie można było spotkać ten gatunek drzewa, które pozostawało zielone niezależnie od pory roku. Kastor zastanawiał się czasem, czy nie jest to wynikiem działania magii.

Bonero się nie pomylił. Nim zapadł zmrok, podjechali prawie pod samą linię lasu i znaleźli dogodne miejsce na nocleg.

– Idźcie poszukać gałęzi na ognisko – polecił Kejlok swoim dwóm podwładnym.

Jednak mężczyźni spojrzeli jeszcze na Kastora. Przytaknął bez słowa.

– Nie wchodźcie dalej, niż niosą się nasze głosy – ostrzegł ich Bonero. – Możecie się zgubić wśród ciemności, a wtedy nie wrócicie żywi.

Obaj żołdacy uśmiechnęli się do niego niepewnie, ale spostrzegłszy, że ten nie żartuje, natychmiast spoważnieli. Gdy odeszli, a Kejlok oporządzał konie, Setnan podszedł do Kastora.

– Jesteś ich dowódcą, prawda?

– W tej chwili tak – odparł wymijająco najemnik, ściągając ze swojego konia juki.

– Ci dwaj – chłopak wskazał brodą mężczyzn zbierających suche gałęzie na skraju lasu – boją się ciebie, panie.

Kastor uśmiechnął się połową ust, ale nic nie odpowiedział.

– Naprawdę jesteś eskortą mojego wuja? – próbował dalej Setnan.

– To wersja oficjalna. – Rzucił swój tobołek na ziemię i rozkulbaczył konia. – Twój wuj jest naszym przewodnikiem, bo tylko on zna trasę wiodącą koło Czarnego Lasu na tyle, by nas bezpiecznie poprowadzić. Inni bali się tędy jechać. Zupełnie nie wiem dlaczego.

– Pfff – prychnął Bonero.

Setnan i Kastor obrócili się w stronę kupca układającego na ziemi swoje posłanie. W odpowiedzi na ich pytające spojrzenia mężczyzna pokręcił głową i założył ramiona na piersi.

– Boją się, bo niejeden, co tędy jechał, nie powrócił. I to nie są bajki. Wystarczy zboczyć ze szlaku, a nikt więcej o was nie usłyszy.

Kastor roześmiał się ubawiony.

– Przesądni ludzie. Jak można aż tak bać się czegoś, czego nie widać?

– Właśnie o to chodzi. Strach przed nieznanym zawsze jest najgorszy.

– Może i tak, ale nadal uważam, że to przesada. Prawdopodobnie zdarzył się wypadek albo dwa, a potem historie, całkiem zwyczajne, obrosły w legendy. To wszystko.

Widział, jak usta Setnana otwierają się szeroko ze zdumienia, a oczy lśnią jawnym podziwem.

– Nie boisz się, panie? – szepnął młodzieniec.

Kastor wzruszył ramionami.

– A czego tu się bać? Las jak każdy inny. Może i zbóje są w środku, może i nie ma. Miecza nie noszę dla ozdoby.

– Głupiś – prychnął Bonero.

Kastor zignorował ten komentarz i zabrał się za rozkładanie posłania.

*

Setnan usiadł na swoim kocu przy świeżo rozpalonym ognisku i śledził wzrokiem tajemniczego najemnika, który wynajął jego wuja. Czarnowłosa mężczyzna wyglądał młodo. Jego przystojne oblicze zdawało się sympatyczne, a mimo to roztaczał wokół siebie jakąś bliżej nieokreśloną aurę niebezpieczeństwa. Ale czemu na twarzy nie miał żadnej blizny? Przecież najemnik powinien mieć blizny na policzkach. Albo chociaż taką przecinającą brew, prawda? Ci, o których czytał w książkach, zawsze wyglądali jak męty spod ciemnej gwiazdy.

Kastor rozłożył swoje posłanie i obrzucił wszystkich szybkim spojrzeniem. Setnan aż się wyprostował, gdy błękitne oczy spoczęły prosto na nim. W sumie sam nie wiedział, czemu tak reagował.

Głupek... – skarcił się w myślach.

Mężczyzna tymczasem oznajmił, nie zwracając się do nikogo w szczególności, że idzie się przejść, po czym zniknął w ciemnościach.

Setnan odwrócił się do wuja właśnie rozpakowującego suszone mięso.

– Kim on jest? Nie wygląda jak ktoś z tych stron.

Wuj Bonero zamrugnął i ułożył plasterek baraniny na ukrojonej wcześniej pajdzie chleba. Odpowiedzi udzielił Kejlok:

– To Cień Zachodu.

Setnan obrócił się tak raptownie, że aż w karku mu chrupnęło. Spojrzał na mężczyznę o brązowych oczach i równie brązowej, popłątanej brodzie. Usta opadły mu lekko. Cień Zachodu? CIENŹ ZACHODU?! Ale... ALE... JAK TO?! Czy to możliwe, by właśnie poznał prawdziwą legendę? Bohatera tylu historii, których słuchał z zapartym tchem, gdy do kuźni jego ojca przybywali przyjezdni?

Gwałtownie zamknął usta tylko po to, by po chwili znów je otworzyć. Jednak żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

– Wyglądasz jak ryba wyjęta z wody – stwierdził Kejlok, wprawiając wszystkich przy ognisku w rozbawienie.

Setnan mimowolnie poczerwieniał.

– Cień Zachodu, powiadasz... – Bonero silił się na obojętny ton, ale Setnan bezbłędnie rozpoznał w nim nutkę głębokiego zdziwienia. Kolejne słowo wuj mocno zaakcentował, najwyraźniej próbując zyskać pewność, czy on i Kejlok myślą o tym samym człowieku. – TEN Cień Zachodu?

– We własnej osobie. Nie ma chyba innego. – W głosie wojownika wybrzmiała ekscytacja.

Setnan przyjrzał mu się uważnie. W gąszczu brązowej brody błysnął uśmiech ukazujący lekko pożółkłe zęby. W jego oczach pojawił się jakiś bliżej nieokreślony błysk. Czyżby podziw?

Siedzący obok niego kompani zgodnie pokiwali głowami. Jeden z nich dodał:

– Nim go poznałem, myślałem, że Cień Zachodu to wiekowy rycerz, który przez wiele lat walczył na odległych terenach, w dalekich wojnach, o czym miała świadczyć wielka blizna na pół twarzy.

– Słyszałem, że jest olbrzymem, który potrafi zgnieść głowę człowieka jedną ręką, niedoścignionym we władaniu mieczem i strasznie mściwym – szepnął Setnan, czując, jak jego serce łomocze w piersi. Prawie podskakiwał z ekscytacji na swoim posłaniu.

– Mówią też, że mam złote zęby i dwie pary oczu, a panny zrzucają suknie na mój widok. – Dobiegł ich rozbawiony głos Kastora, który wyłonił się z ciemności i wkroczył w obręb światła z ogniska, na co wszyscy aż podskoczyli, zaskoczeni. – Nie należy ślepo wierzyć w legendy. Jak widać na moim przykładzie, niewiele w nich prawdy. – Cień Zachodu wykonał przed zebranymi błazeński ukłon, a potem usiadł na swoim poprzednim miejscu.

Czy właśnie w ten sposób Setnan go sobie wyobrażał? Zdecydowanie nie. Na pewno nie sądził, że tak znany najemnik jest jednocześnie tak młody. Ale też jego zachowanie... Był zbyt... przystępny. Zbyt... sam nie wiedział... zbyt ludzki, chyba.

Ale te wszystkie opowieści! Któraś z nich musiała być prawdziwa, co nie? Przecież nie wzięły się znikąd. Setnan próbował sobie przypomnieć szczegóły chociaż kilku z nich, ale jak na złość miał pustkę w głowie. Nagła myśl spowodowała, że aż się wyprostował.

– Czy to prawda, że pokonałeś smoka? – zapytał.

Legendarny najemnik uniósł brwi i zmierzył go przenikliwym spojrzeniem niebieskich tęczówek.

– Nie. Smoków już od dawna nie ma. Co za bzdury... Nie uczyłeś się historii? Kalendarz Pierwszej Ery był liczony od zagłady ostatniego wielkiego łęgowiska smoków. Wiesz, co to p.u.s.?

Setnan się zmieszał. Lubił czytać książki i pochłaniał je szybko. Matka zawsze zachęcała go do pogłębiania wiedzy, ale ojciec, kowal, był temu przeciwny. Uważał, że zamiast ćwiczyć umysł niepotrzebnymi faktami z historii, pierworodny powinien trenować mięśnie, by pewnego dnia przejąć kuźnię. Gdyby nie wuj Bonero, Setnan zapewne ostatecznie zostałby kowalem. I nienawidziłby swojego życia z całego serca.

– P.u.s. to... – Grzebał usilnie w umyśle. Nagle uśmiechnął się szeroko. – „Po upadku smoków”. Tak, już pamiętam. To był system odliczania lat, który ustanowiono w czasach podpisania Wielkiego Pokoju między ludźmi, elfami i krasnoludami. Pokoju, który miał trwać wiecznie.

– Nic nie trwa wiecznie. – Głos Kastora wybrzmiał twardo. – A co było potem?

– Potem... – Setnan aż się spocił od tego przepytывania. Już od bardzo dawna nikogo nie interesowało, jaką nową wiedzę pozyskał, więc nie musiał się z niej nikomu opowiadać. – Potem nastąpiła Druga Era, kształtująca obecny podział polityczny, liczona od pierwszego roku po upadku królestwa krasnoludów. Już nie pamiętam jego nazwy.

Legendarny najemnik z uznaniem pokiwał głową. Setnan pokračował, nie mogąc powstrzymać uśmiechu samozadowolenia. Czuł się tak, jakby ktoś podarował mu gwiazdkę z nieba. Mógłby niemal góry przenosić!

Tymczasem Cień Zachodu kontynuował:

– W tym samym okresie zakończyła się wyniszczająca wojna domowa wśród elfów. To jak teraz mierzymy lata?

– P.e.l., czyli „początek ery ludzi”. Tak się teraz oznacza daty w księgach. – Uśmiech Setnana był tak szeroki, że zgromadzeni mogliby policzyć wszystkie jego zęby. Ale chłopiec nie dbał o to. Był z siebie dumny. A błysk aprobaty na twarzy Cienia Zachodu był najlepszą nagrodą, jaką mógł dostać.

– Bardzo dobrze – przyznał Cień. – Pierwszy rok p.e.l. wypadła w trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiątym roku p.u.s.

– Obszerny zakres wiadomości – zauważył z wyraźnym zdziwieniem wuj Bonero. – Mogę spytać, skąd to wszystko wiesz?

– Może jestem najemnikiem, ale czytać umiem – odpowiedział sarkastycznie Kastor, a potem przeniósł spojrzenie na Setnana. – I żadnego smoka nie zabiłem.

Ramiona chłopaka opadły wyraźnie, a on sam zgarbił plecy i wlepił ponury wzrok w tańczące płomienie. Przez dłuższą chwilę przy ognisku panowała cisza.

– Czy wszystkie legendy o tobie to bzdura? – Głos Kejloka był niewiele głośniejszy od szeptu. Setnan spojrzał w jego stronę i dostrzegł szelmowski uśmiech unoszący jego wargi.

– Nie wszystkie – przyznał z ociąganiem Kastor.

Setnan zerknął do góry. Gdyby kiedyś miał opisać twarz boga wojny, tak właśnie by ją sobie wyobraził – błysk w niebieskich oczach mieniących się w świetle ognia, ostre rysy przystojnej twarzy i ten uśmiech... Usta zamknięte, jeden ich kącik uniesiony ku górze. Niby nic nadzwyczajnego, ale ten wyraz... Setnan zadrżał. Nagle zrobiło mu się zimno. Współczuł wszystkim przeciwnikom Cienia Zachodu, których najemnik uraczył takim uśmiechem.

Sądząc po tym, jak wuj Bonero spuścił głowę, a Kejlok odchrząknął nagle, nie tylko on jeden poczuł się nieswojo.

– Możemy go zobaczyć? – podjął po chwili mężczyzna, odzyskując pewność siebie.

– Co takiego? – Kastor uniósł brwi, jakby nie wiedział, o czym mowa, ale po wyrazie jego twarzy Setnan poznał, że tylko się droczy.

– Płonący Miecz.

Chłopak drgnął zaskoczony, jego głowa obróciła się w stronę Kejloka jak na zwolnionej sprężynie. Jaki złośliwy demon podpuścił go, by zadał to pytanie?! Jasne, Setnan wiedział, że Płonący Miecz jest nieodłączną częścią legend o Cieniu Zachodu, ale żeby tak zapytać o niego wprost?! No to poleje się krew. Z pewnością najemnik zaraz wstanie, chwyci za oręż i rozplata kompana za okazaną bezczelność!

Kastor wstał.

Setnan wyprostował się raptownie, napinając przy tym mięśnie. Nie siedział obok Kejloka, ale i tak asekuracyjnie odsunął się kawałek dalej, w stronę wozu. W razie czego będzie mógł się za nim schować.

Najemnik podniósł ręce i rozpiął skórzany kaftan. Zdjął go i zabrał się za sznurowania koszuli, tuż pod szyją.

– C-co robisz? – wydukał zdezorientowany Setnan.

Cień bez słowa chwycił koszulę na karku i ściągnął ją przez głowę.

Oczom zebranych ukazał się nagi, umięśniony tors najemnika. Jego ciało pokrywały ślady po licznych skaleczeniach i ranach, ale nie one zwracały uwagę. Przez całą pierś Kastora, począwszy od mostka, przez serce, a na lewym barku skończywszy, biegła gruba, czerwona blizna, idealnie wkomponowana w tatuaż miecza otoczonego eterycznymi płomieniami. Tam, gdzie szrama była najgrubsza, poniżej serca, wytatuowano rękojeść. Wzdłuż zwężenia blizny biegła klinga. Kunszt tatuażu był niezwykle, a czerwona, wypukła szrama sprawiała wrażenie, że miecz żarzy się od środka.

Setnan nie mógł oderwać wzroku od dzieła wykonanego, bez wątpienia, ręką prawdziwego artysty. Gdy legendarny najemnik poruszył się nieznacznie, światło z ogniska zatańczyło na tatuażu, ożywiając go. Usta chłopaka opadły w niemym zachwycie. Miecz naprawdę płonął! Niesamowicie!

Obok siebie usłyszał wciągane ze świstem powietrze. Obejrzał się. Wszyscy zebrani przy ognisku z jednakowym podziwem wpatrywali się w tatuaż. Setnan znów zerknął na legendarnego najemnika, a jego spojrzenie, jak za sprawą magicznego zaklęcia, momentalnie powędrowało w kierunku szramy.

– Płonący Miecz – szepnął, przerywając ciężką ciszę, która zapadła wokół ogniska.

Kastor bez słowa wciągnął na głowę koszulę, a potem włożył i zapiął skórzany kaftan.

– Tak. To jest Płonący Miecz – odezwał się, gdy doprowadził garderobę do porządku. – Choć zdarzali się i tacy, którzy twierdzili, że ten, który noszę u pasa, rzeczywiście płonie. – Pokręcił głową na to

głupie stwierdzenie. – O ile nie zanurzę metalu w smole albo oliwie i go nie podpalę, to miecz nie stanie w ogniu.

– Jak go zyskałeś? – odważył się zapytać Setnan. – Ten tatuaż... i bliznę?

– To za długa historia na jeden wieczór. – Kastor ponownie wstał. – Jutro ruszamy o świcie. Pora kłaść się spać.

Zebrani przytaknęli, choć Setnan miał ochotę protestować. Zobaczywszy jednak, że najemnik odchodzi kilka kroków w stronę ciemności, nie odezwał się już słowem. Rozwinął swój koc i ułożył się na nim, a potem przykrył grubym pledem. Jakie jeszcze przygody mogły spotkać go w tej podróży i – kto wie – może w kolejnych, które czekały go pod opieką wuja...? Zadarł głowę na posłaniu i spojrzał w kierunku pleców najemnika. Chciał wiedzieć o nim więcej. Chciał być jak on. Przymknął powieki. Zasnął momentalnie.

Rozdział 2

Miecz ze świstem przeciął powietrze. Stal uderzyła o stal. Kilka Miskier przeskoczyło po tępych ostrzach. Klingi oderwały się od siebie tylko po to, by znów zetknąć się z hukiem. Wibracja tego uderzenia zatrzęsała całym ramieniem Arii, ale zamiast poluzować chwyt, dziewczyna szczerzej zamknęła palce na rękojeści.

Krzyki. Dym i ogień. Śmierć krocząca korytarzami zamku.

Zacisnęła zęby tak mocno, że aż zaboląły ją mięśnie twarzy. Dobrze. Ból osadzał ją w rzeczywistości. Pozwalał zostać tu i teraz.

Odskoczyła od przeciwnika, ale ten nie dał jej odpocząć. Był wyższy, miał dłuższe ręce, a przez to większy zasięg. Machnął mieczem w stronę jej klatki piersiowej. Odgięła się w ostatniej chwili. Zgubiła krok. Poczowała wściekłość na samą siebie. To błąd nowicjusza. Nie wolno jej takich popełniać. Nie wolno jej popełniać żadnych błędów.

Kucnęła szybko, z cholewy buta wyciągnęła sztylet i mocno zacisnęła na nim palce. Wyskoczyła z przysiadu do przodu i zaatakowała cięciem miecza od dołu: od krocza w kierunku mostka. Przeciwnik sapnął zaskoczony. Z trudem uniknął ciosu, robiąc krok w tył i obracając się do niej bokiem. Zachwiał się przy tym nieznacznie i pochylił w jej stronę. Wykorzystała skrócony dystans i wzięła zamach drugą ręką – sztyletem celując w gardło. Odsunął się jeszcze o krok, unikając ostrza, a jego usta wygiął delikatny uśmiech. Wokół oczu pojawiła się siateczka dyskretnych zmarszczek.

Krzyk. Czemu wszyscy krzyczą? Czemu matka płacze, a ojciec trzyma w dłoni miecz?

– Skup się! – warknął i spowaźniał nagle.

Aria odetchnęła ciężko. Była już zmęczona, ale nie zamierzała się poddać. Gdyby nie wspomnienia tego cholernego snu o przeszłości, już dawno poradziłaby sobie z Mohunem. A przynajmniej lubiła sobie to wmawiać. Pokonanie Mistrza Trzeciej Klasy nie było łatwe. Lekko mówiąc.

Zaatakował. Zablokowała cios idący od góry, krzyżując miecz i sztylet. Stęknęła z wysiłku. Elf był od niej znacznie silniejszy. Do tego naparł całym ciałem, górował nad nią wzrostem i zmuszał do odchylenia. Jeszcze kilka cali i padnie na plecy, a wtedy walka będzie skończona. Żeby mieć jakąkolwiek szansę, Aria mogła tylko odpuścić.

Ktoś chwycił mnie za rękę i poprowadził mrocznymi zaułkami z dala od rodziców. Z dala od bezpieczeństwa. Z dala od śmierci. Krzyki przycichły.

Opuściła ręce, pochylając się na bok. Padła na ziemię, przekoziółkowała. Klinga Mohuna uderzyła z tępym hukiem o trawę na polanie.

Aria zatrzymała się, stanęła na ziemi jedną stopą, klęknięła na prawym kolanie. Wzięła szybki zamach i rzuciła sztyletem, celując w gruby, watowany napierśnik. Mistrz Mohun zakręcił mieczem młynka i odbił lecące ostrze. Nie spodziewała się niczego innego, ale dzięki temu rzutowi kupiła sobie dodatkowy czas. Podniosła się na obie nogi. Wzięła potężny zamach, obracając się wokół własnej osi.

Każdy ma swój los... Aria taen lu mes vive... mea flass...¹ – usłyszała w głowie głos swojej matki. Echo ostatnich słów, które ciągle nawiedzały ją w snach.

Z krótkim okrzykiem zakończyła piruet. Napięła mięśnie ramion, wzmocniła chwyt na rękojeści i korzystając z siły rozpędu, wyprowadziła płaskim łukiem atak prosto na szyję Mohuna. Zatrzymała ostrze w ostatniej chwili, tuż przy jego skórze. Na ramieniu poczuła ciężar stali. Zerknęła w bok, unosząc nieznacznie brew. Uśmiechnęła się.

– To kto wygrał? – Opuściła miecz i dwoma palcami odsunęła klingę Mohuna od swojej szyi.

– Uznajmy to za remis. – Elf także nieznacznie się uśmiechnął.

Aria czuła spływający po plecach pot. Serce waliło jej szybko, oddech miała przyspieszony. Była zmęczona, ale czuła się rewelacyjnie. Żywoć wojownika... To była jej droga. Wiedziała to, odkąd po raz pierwszy wzięła do ręki miecz. A dzięki Mohunowi była doskonale wyszkolona.

– Wiesz, że nie lubię cię chwalić – mruknął mistrz, patrząc na nią wymownie.

Uśmiechnęła się szeroko, pewna, że pokazuje wszystkie zęby.

¹ Aria taen lu mes vive... mea flass... – Ario jesteś pieśnią z mojego życia... z mojej krwi...

– To najlepsza pochwała, jakiej mogłabym oczekiwać, mistrzu. – Skłoniła z szacunkiem głowę, a potem podeszła kilka kroków w stronę brzegu polany, opadła na trawę i oparła plecy o pień pobliskiego drzewa.

Nogi drżały jej lekko. Odchyliła głowę i popatrzyła przez gęste, czarne gałęzie na prześwit nieba. Przymknęła powieki i odetchnęła głęboko. Uwielbiała wiosnę. Wszystko budziło się do życia. I ten zapach lasu o poranku! Powietrze jeszcze chłodne i wilgotne od rosy. Śpiew ptaków niezakłócony żadnym innym dźwiękiem. Promienie słońca znajdujące drogę pomiędzy gęstymi konarami czarnych drzew Vorniros².

Spowaźniała wyraźnie, westchnęła opuściwszy głowę, dopiero po chwili uniosła wzrok, by spojrzeć wprost na obserwującego ją bacznie mistrza. Zdążył odłożyć miecz ćwiczebny i usiąść na trawie, naprzeciw niej. Jego jasnobrązowe włosy sięgające uszu były zmierzwiłone. Szare, pełne wyrazu oczy patrzyły na nią z troską, choć piękna, bezwiekowa twarz pozostała niemal kamienna.

Lata temu, kiedy Aria dopiero przyjechała do Vorniros, wszystkie elfy wydawały się jej piękne, zimne i niedostępne. W jej oczach wyglądały jak idealne posągi z marmuru. Ale tylko na początku. Z czasem poznała wiele ich wad i nauczyła się rozpoznawać subtelną grę emocji na ich twarzach. Tak jak teraz. Nieznaczące uniesienie brwi, lekko pobielałe od zaciskania usta. Mohun był zaniepokojony.

– Znów śniłaś o Terranel³ – stwierdził raczej niż zapytał.

Odetchnęła ciężko.

– To aż takie oczywiste? – Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie. Chciała obrócić rozmowę w żart. Nie miała ochoty na roztrząsanie tego, co się wydarzyło trzynaście lat temu. Już i tak niewiele pamiętała z najazdu na zamek. Jej sny to tylko zlepek niewyraźnych wspomnień, niejasnych uczuć i dziecięcych lęków, które ciągle gdzieś w niej tkwiły.

² Vorniros – Czarny Las

³ Terranel – dosł. Zrodzony z Gwiazdy, elfi odpowiednik nazwy Gwiazdospad, odnoszącej się do zamku Kirkora Merevan. Budowla wzniesiona na obszarze Księżycowej Doliny, prawdopodobnie w latach 1500–1600 p.u.s. Aż do zagłady zamku stanowiła lenno dziedziczne w rodzinie królewskiej Esten. Obecnie ruiny [za: „Architektura zamkowa i pałacowa przez wieki”, praca zbiorowa pod red. Vivi Le Verck].

– Jestem twoim nauczycielem, odkąd król sprowadził cię do Vorniros. Znam cię lepiej niż ty sama.

– No nie wiem... – mruknęła pod nosem.

Oby nie.

– Nie przewracaj oczami – skarcił ostro. – To nie przystoi prawdziwej kitam⁴.

– Czyżby? Może nie nadaję się na prawdziwą kitam? – uśmiechnęła się szeroko i wyprostowała. – Wiesz co, powiedz to mojemu dziadkowi.

Mohun zmrużył oczy.

– Arbarelesa⁵ nie powinna ironizować.

– Nie? Ale skoro ja nie mogę, to kto może?! Poza tym to akurat nie była ironia. Mówię całkiem poważnie. Idź, proszę, do mojego dziadka i powiedz mu, że nie jestem dobra w ukłonach, ładnych uśmiechach i gadkach o niczym. Nie nadaję się do zabawiania gości. Nie chcę tego robić. Obowiązki dworskie mnie nudzą.

Mohun przyjrzał się jej.

– Skoro jesteśmy przy zabawianiu gości... ćwoczyłaś pieśń Hallynty?

Aria znów przewróciła oczami, westchnęła cicho i spuściła wzrok na kolana.

– Ario...

– No właśnie, Ario⁶! – nie wytrzymała, zrywając się z miejsca. Zimny powiew wdarł się pod jej przepoconą koszulę. Zadrżała, ale zupełnie to zignorowała i stając na szeroko rozstawionych nogach, wzięła się pod boki. – Uważam, że to okrutna złośliwość losu dostać takie imię, a nie mieć za grosz talentu muzycznego.

– Bez przesady. Głucha na melodię nie jesteś. A wszystko inne da się wyszkolić. Ponieważ śpiew nie przychodzi ci tak łatwo, jakbyś chciała, musisz ćwiczyć go dwa razy dłużej.

Aria w niemej frustracji wyrzuciła ręce w górę.

– Kiedy wreszcie zrozumiesz, Mohunie, że to przegrana sprawa? – zapytała i pokręciła głową. – Naprawdę się dziwię, że w pałacu

⁴ kitam – odpowiednik damy w kraju elfów

⁵ arbarelesa – księżniczka krwi, pochodząca z rodu królewskiego

⁶ aria – dosł. pieśń

arbarosa⁷ Landona nadal są wszystkie szyby w oknach. Jestem w śpiewie na tyle beznadziejna, że jeżeli kiedyś zgubię miecz albo zabraknie mi strzał w kołczanie, to po prostu zacznę śpiewać. Wygrana w walce gwarantowana, bo przeciwnicy z pewnością uciekną z krzykiem.

Mohun parsknął krótkim śmiechem.

– Przesadzasz. Twój śpiew nie jest aż taki beznadziejny. Trochę treningu i na pewno...

– Na pewno nie! – Zaciśnęła dłonie w pięści i niewiele brakowało, by tupnęła ze złości. Zaczęła się rozluźniać dopiero, gdy na twarzy Mohuna dostrzegła pojawiający się powoli wyraz rozbawienia.

– Jesteś wredny! – wypaliła.

– Ostrożnie, rozpuszczona pannico. Jak się odnosisz do swojego mistrza?

– Tak, jak na to zasługuje. I to nie ja tu się zachowuję jak krnąbrny smarkacz.

Mohun pokręcił głową, ale nie zdołał ukryć uśmiechu.

– Trochę za bardzo przerastam cię wiekiem, żebyś się mogła do mnie odnosić w ten sposób.

Tym razem to Aria się uśmiechnęła i znów usiadła na trawie. Przerzuciła długi, gruby warkocz przez ramię i rozwiązała podtrzymującą go wstążkę. Spojrzała na kasztanowe kosmyki wychodzące bokami ze splotu i zaczęła rozczesywać je palcami. Niby od niechcenia rzuciła:

– A ja przerastam cię pozycją, ale jakoś tego nie wypominam.

Mohun roześmiał się perliście. A przynajmniej ona tak to odczytała. Przywykła już dawno, by emocje elfów mierzyć inną miarą.

– No proszę. Pyskata jak zwykle. Do dziadka też się tak odzywasz?

– Czasami... – mruknęła. – Ale on nie ma takiej tolerancji na moje wybryki jak ty. – Znów wyszczerzyła zęby. Rozplotła ostatnie pasma i przeczesowała je palcami tylko po to, by rozpocząć zaplatanie warkocza od nowa.

– A jak ci idą pozostałe nauki?

– Preceptorzy mnie chwala. Myślałam, że na bieżąco zdają ci raporty z moich postępów.

⁷ arbaros – król we własnym prawie, prawowity władca Lasu

– Prawda, że to ja z nadania królewskiego nadzoruję twoją edukację, ale chcę poznać twoje myśli i wrażenia. Czy coś szczególnie sprawia ci trudność?

Zastanowiła się chwilę.

– Znam historię, z kaligrafii jestem naprawdę dobra. Zajęcia ze strategii i dyplomacji prowadzi ze mną sam arbaros, więc lepiej przygotowana nie będę. Ale magia... do tego się nie nadaję.

– Mistrz Kandar wspominał, że na zajęciach masz pewne trudności...

– Mistrz Kandar łaskawie to ujął. – Wykrzywiła usta. – Jestem beznadziejna w posługiwaniu się magią. To jest adekwatne stwierdzenie.

– No... – Mohun zawahał się przez chwilę. – Ale jednak coś tam umiesz... prawda?

Nadzieja w jego głosie tchnęła desperacją. Aż tak mu zależało na tym, by umiała wykorzystywać strumienie mocy? Po co?

– Coś tam umiem – przyznała w końcu. – Nie ma tego wiele, ale kilka użytkowych trików znam. Na tyle, by ułatwić sobie życie codzienne, ale nie na tyle, by zastosować je w walce czy jakimkolwiek wyższym celu.

Mohun odetchnął z wyraźną ulgą, a potem pokiwał głową i uśmiechnął się lekko.

– Chciałabym wyjechać – odezwała się niespodziewanie i zmieniła temat. – Wrócić na ziemię mojego ojca.

– One już nie należą do ciebie. – Głos mistrza był cichy.

– Wiem – przyznała z pewnym smutkiem. – Ale nie chcę ich posiadać. Chcę je odwiedzić. Zobaczyć, co się zmieniło. Jak teraz wygląda zamek...

– Aria, przestań – upomniął krótko.

– Dlaczego? – Spojrzała wprost w jego szare tęczy. – Nie wolno mi pragnąć odwiedzić ziem, na których się urodziłam? Terranel to był mój dom.

– Teraz Silvaros⁸ jest twoim domem. Arbaros Landon twoją rodziną. Wracanie do przeszłości nie spowoduje, że ją odzyskasz. Nic nie jest w stanie wrócić życia twoim rodzicom. I nic nie przywróci życia, które mogłaś mieć, gdyby nie zginęli.

– Wiem – szepnęła i posmutniała.

⁸ Silvaros – Serce Lasu

Gdyby jej dziadek, który wraz z wojskiem przybył na odsiecz obleżonemu zamkowi zięcia, nie zadecydował, że przygarnie bezdomną sierotę, zostałaaby z niczym. Musiała być wdzięczna. I była. Niewyobrażalnie wdzięczna. Za dach nad głową, za miłość i opiekę, za wykształcenie. A mimo to... czegoś ciągle jej brakowało. I ciągle czuła wściekłość, ilekroć pomyślała o losie rodziców. Gdyby nie ten wiarołomca i morderca, jej matka ciągle by żyła. Jej ojciec ciągle władałby Księżycową Doliną, a ona... ona miałaby inne życie.

Ten... Nawet w myślach nie chciała wypowiadać jego imienia. Był nikim. Podłym zbrodniarzem, który okradł ją z dzieciństwa. Nienawidziła go z całego serca. Nienawidziła jego nazwiska, jego rodu. To, że żył i oddychał, kiedy jej rodzice od tak wielu lat leżeli martwi, napawało ją oślepiającą furia. Zabije go kiedyś. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Jeszcze nie wiedziała, jak ani kiedy, ale pewnego dnia odszuka mordercę i patrząc mu w oczy, wbije mu nóż w trzewia. Za rodziców. Za życie, które straciła.

Opanuj się!

To nie był ani czas, ani miejsce na myśli o tym zbrodniarzu. Musiała pogrzebać te wspomnienia, zanim mistrz ponownie zorientuje się, co jej chodzi po głowie.

Przymknęła powieki i wzięła długi, uspokajający oddech. Poczowała się lepiej. Swobodnie.

– Dużo elfów opuszcza Vorniros? – zapytała.

Mohun uniósł wysoko brwi i zastanowił się chwilę, nim odpowiedział.

– Sporo. Część wyjeżdża z poselstwami lub na misje. – Jego głos był pełen rezerwy. – Większość wraca po roku albo paru, ale są i takie elfy, które postanawiają zostać wśród ludzi.

– Mówisz to tak, jakbyś tego nie pochwalał.

– Nie o to chodzi. Po prostu tych żyjących poza puszcza jest mi żal. Elfy są długowieczne. Ludzie nie. Ale wszyscy tak samo kochamy. Pomyśl, jak ciężko musi być patrzeć, kiedy najbliższe ci osoby starzeją się, chorują i umierają, podczas gdy ty pozostajesz taka sama. Niezmieniona przez czas. Często się zdarza, że elfy przeżywają swoje wnuki zrodzone z krwi mieszanej. Przeważnie wtedy umierają, oddając swoje światło i pogrążając się w ciemności.

– Co to znaczy „oddając swoje światło”? – zapytała, marszcząc brwi.
– Tracą wolę życia. Odcinają się od strumieni mocy, przestają słuchać natury. Ciężko to wyjaśnić. To łagodna, ale smutna śmierć. Dużo czasu podróżowałem i zdarzyło mi się spotkać elfy, które wybrały życie wśród ludzi. I dzieci, które powstały z takich związków.

– Takich jak ja – zauważyła cicho. – Dlaczego żadne z tych dzieci nie wróciło do Vorniros? Nie byli ciekawi ojczystych stron drugiego rodzica?

– Myślę, że się boją. Nie są elfami w pełni i obawiają się, że nie będzie dla nich miejsca w naszym królestwie.

– Dla mnie miejsce się znalazło.

– Ty jesteś wnuczką króla Landona – powiedział mistrz głosem ucinającym dyskusję.

Aria przyjrzała się jego twarzy. Ciągłe wyglądał młodo. Wydawał się może parę, paręnaście lat starszy od niej. Ale wiedziała, że to tylko iluzja elfiej urody. Kiedyś, w przypływie młodzieńczej odwagi zapytała go, ile właściwie ma lat. Po jego odpowiedzi nogi jej osłabły. Ale to było kiedyś. Od tamtej pory nauczyła się nie pytać nikogo w Vorniros o wiek. To i tak było bez sensu. Nie on definiował pozycję elfów w królestwie. Najważniejsze były umiejętności i doświadczenie. To one determinowały szacunek, jakim darzono tutejszych mieszkańców.

– Będziesz urządzał przyjęcie urodzinowe w tym roku? – zapytała z uśmiechem, chcąc zmienić temat.

Mohun zastanowił się chwilę.

– Może... Choć to nie mój okrągły jubileusz, więc nie widzę powodu do organizowania przyjęcia. Ale jeszcze nie zdecydowałem.

– Cóż, sześćset trzydzieści dwa lata to faktycznie nie okrągła rocznica, ale każda okazja jest dobra do urządzenia przyjęcia.

Roześmiał się cicho.

– Prawda. Tylko nie każdy ma służbę, która potem po takim przyjęciu posprząta dom.

– Król Landon użyczy ci swojej, jeżeli poprosisz. Zresztą z pewnością sam chętnie przyszedłby na uroczystość, na której byłby tylko gościem.

– Arbaros nigdy nie jest TYLKO gościem.

Przewróciła oczami.

– Oj, wiesz, o co mi chodzi. – Machnęła ręką. – Przez ostatnie tygodnie trwają tak intensywne przygotowania do balu, że z pewnością mój dziadek ucieszyłby się z przyjęcia, na którym nie musiałby się przejmować ambasadorami z domen ani odpowiednim dobozem gości. Poza tym każde urodziny warte są świętowania. Zwłaszcza że nie wyglądasz na tyle lat. – Puściła mu oczko.

Nauczyciel tylko pokręcił głową, a jego uśmiech stał się nieco szerszy.

– Dawne legendy opowiadają o elfach, które przeżywały tysiące wiośen. Czas wtedy płynął im inaczej. Z niczym się nie spieszyły, bo nie musiały. Właściwie nikt nie wie dlaczego, ale gen długowieczności zaczął zanikać. – Mohun spoważniał. – Najstarszy mieszkaniec naszego królestwa zmarł podczas minionej pełni. Miał tysiąc pięćset dwadzieścia trzy lata. To zaledwie połowa tego, czego dożywali nasi przodkowie. Jak już wspomniałem, elfy, które odeszły z Czarnego Lasu, żyją jeszcze krócej. Przeżywają w świecie ludzi nie więcej jak sto, sto pięćdziesiąt lat. To właściwie bardzo ciekawe zjawisko. Są nawet wzmianki o tym, że większość dawnych elfów w jakiś sposób starzała się fizycznie. W Lesie również się to zdarza, ale w świecie ludzi już nie. Elfy, które tam odeszły, umierają młodo.

Krzyki. Śwąd spalenizny. Odgłos walących się kamieni.

Na sekundę zacisnęła szczęki, starając się wyrzucić z umysłu wspomnienia napadu na Gwiazdospad, zamek jej ojca. Nie chciała pamiętać. Nie dziś. Ale czy gdyby tego nie przeżyła... gdyby wychowywała się pod opieką rodziców, nadal byłaby taka sama, jaka jest teraz?

– Patrzeć na śmierć kochanych osób postarza wewnętrznie. Kiedy stracisz wolę życia, powłoka, jaką jest twoje ciało, przestaje mieć znaczenie. Niezależnie od tego, jak jest młoda.

Aria tak bardzo pogрузzyła się w czarnych myślach o własnej przeszłości, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że mistrz patrzy na nią, jakby chciał odczytać jej myśli. Spuściła głowę zawstydzona. Niepotrzebnie się odezwała.

– Mądrość, w przeciwieństwie do wiedzy, nie jest zaletą wieku – stwierdził po chwili bardzo poważnie Mohun. – Czasem wydaje mi się, Ario, że twój duch jest bardziej doświadczony niż mój.

Poderwała głowę i spojrzała na niego z wysoko uniesionymi brwiami. A co to za nowe wymysły? Jak ona, osiemnastoletnia zaledwie dziewczyna, może mierzyć się z prawie trzydzieści pięć razy starszym elfem?

Nim zdążyła odpowiedzieć, Mohun sprawnie podniósł się z ziemi i skinął na nią. Wstała, ciągle czując ból mięśni po intensywnym treningu. Spojrzała w oczy mistrza i dostrzegła w nich dumę.

– Po dzisiejszym treningu mogę stwierdzić, że niczego nowego nie jestem już w stanie cię nauczyć. Ale nadal za bardzo się odsłaniasz przy ataku od lewej – dodał karcąco.

– Czy to znaczy, że... – urwała, z wrażenia aż zabrakło jej słów. Serce zabiło mocno, a ból i zmęczenie odpłynęły w niebyt.

– Jesteś gotowa. – Mohun skinął głową, a jego usta wygiął lekki uśmiech. – Rozmawiałem już z arbarosem. Twoja edukacja dobiegła końca. Dzisiejszy trening to potwierdza.

– Och, mistrzu!

Aria w przypływie nagłej ekscytacji rzuciła się na niego i zaplatając ręce wokół jego szyi, przytuliła go mocno. Elf w pierwszej chwili zesztywniał, ale już po sekundzie odwzajemnił uścisk i zaśmiał się krótko w jej włosy.

– Jestem z ciebie dumny – szepnął po ojcowsku, a potem odsunął ją na długość ramienia.

– Aria! – usłyszeli wołanie spomiędzy drzew.

Mohun zrobił dwa kroki w tył, przywracając taktowny dystans między nauczycielem i jego podopieczną. Aria nie mogła przestać się uśmiechać. Miała ochotę rzucić jakiś złośliwy komentarz na temat jego nadmiernego przywiązania do formalności, ale nim to zrobiła, na polanę weszła Riva – wysoka, smukła elfka o blond włosach i pięknym obliczu.

– Wreszcie cię znalazłam – powiedziała z pretensją w głosie. Wyprostowała się, wygładziła granatową, wyszywaną złotą nicią suknię i spojrzała na dziewczynę z przyganą.

– Nie sądziłam, że odnalezienie mnie będzie trudne. Przecież wiesz, gdzie odbywają się moje treningi z mistrzem Mohunem. – Aria chciała brzmieć neutralnie, ale ironia i tak wkradła się w jej ton.

Riva rzuciła jej karcące spojrzenie, a potem z szacunkiem pochyliła głowę w stronę Mohuna.

– Mistrzu, miło cię widzieć.

Gdy elfy wymieniały się uprzejmościami, Aria przyjrzała się posagowej figurze swojej opiekunki. Riva pełniła rolę fanbi⁹ w domu Landona, ale nadal była kitam i miała zapewnione miejsce przy wspólnym stole. To ona opiekowała się małą, wystraszoną dziewczynką, przywiezioną do Vorniros zaraz po śmierci rodziców. Ona głaskała ją w nocy po głowie, próbując odpędzić koszmary. Ona ją stroiła i czesała. Ona ją karmiła i uczyła, jak być księżniczką na dworze elfów. Tyle lat już sprawowała pieczę nad Arią, a mimo to między nimi nigdy nie nawiązała się prawdziwa, niewymuszona serdeczność. Arbarelesa lubiła Rivę, i to raczej z wzajemnością, ale nie były ze sobą mocno związane. Kobieta zawsze utrzymywała dystans, który nie pozwolił dziewczynie odnaleźć w niej utraconej matki. Riva była opiekunką, bardzo dobrą i sumienną, ale tylko opiekunką.

Patrząc teraz na kobietę, która przez ostatnie trzynaście lat nie zmieniła się prawie w ogóle, Aria poczuła ukłucie zazdrości. Złote pukle, piękne, delikatne rysy twarzy i smukła sylwetka. To było wszystko, czego Aria nie miała. Co prawda mówiono jej, że jest całkiem ładna, ale jak można w to wierzyć, gdy dorasta się wśród elfów, których uroda jest tak niezwykła, że aż bolesna? Ona, w przeciwieństwie do innych elfek z Vorniros, nie była aż tak wysoka ani eteryczna. Biodra miała wyraźniej zaokrąglone, biust duży, a w rysach twarzy widać było domieszkę ludzkiej krwi jej ojca. Nie uważała się za ładną. W całym swoim wyglądzie tylko oczy naprawdę lubiła – tak intensywnie zielone, jak szmaragdy. Kolor, nietypowy nawet jak na elfy, odziedziczyła po matce. I była z tego dumna.

– ...zaproszenie, prawda?

Aria zamrugała, szybko zdając sobie sprawę, że pytanie Rivy było skierowane do niej.

– Słucham? Przepraszam, zamyśliłam się.

Kobieta westchnęła z frustracją. Zabawny widok, choć Aria wiedziała, że gdyby teraz się zaśmiała, tylko zasłużyłaby na moralizatorską przemowę wieczorem. Powstrzymała się więc. Ale jednak, w głę-

⁹ fanbia – odpowiednik ochmistryni w świecie ludzi

bi serca, czuła ogromną satysfakcję, że nikt nie potrafił wyprowadzić Rivy z równowagi tak jak ona.

– Pytałam – powtórzyła wolno i dobitnie Riva – czy wręczyłaś już Mohunowi zaproszenie.

Aria nieznacznie ściągnęła brwi i błyskawicznie przeszukała zakamarki umysłu.

– Ach! Bal!

– Tak, ach, bal. – W głosie Rivy wyraźnie słychać było niezadowolenie.

– Mistrzu, najmocniej przepraszam. – Aria odwróciła się do Mohuna. – Co prawda, formalne zaproszenia na jutrzejsze przyjęcie wysłałam już tygodnie temu, ale chciałam cię również zaprosić na niewielkie rodzinne obchody z okazji urodzin mojej matki. O północy planujemy spotkać się w Komnacie Szeptów i zapalić lampki ku jej pamięci. Wiem, że przyjaźniliście się na długo nim wyjechała z Vorniros.

Mohun z powagą skinął głową i uklonił się lekko.

– To wielki zaszczyt. Dziękuję. Na pewno będę.

Riva uśmiechnęła się delikatnie.

– Ario, na jutrzejszym balu musisz prezentować się szczególnie pięknie. Powinnyśmy udać się do twoich komnat, by przymierzyć nową suknię. Szukałam cię, bo krawcowa właśnie dostarczyła zamówienie.

Aria z niezadowoleniem wykrzywiła usta.

– Może później. Teraz jestem umówiona.

– Umówiona?! A z kimże to? – fuknęła Riva. Zmrużyła oczy i przyjrzała się jej podejrzliwie. – Jako arbarelesa nie możesz zadawać się z kim popadnie. Całe Silvaros na ciebie patrzy. Musisz zachowywać się nienagannie i...

– ...i godnie. Wiem – przerwała jej Aria. – Spokojnie. Idę zobaczyć się z Seo. To chyba nie wywoła skandalu.

Elfka wyglądała na niezadowoloną i długo milczała, nim wreszcie sztywno przytaknęła.

– W porządku. Ale wracaj szybko. Czas do balu kurczy się niebezpiecznie, a tak wiele jeszcze trzeba przygotować.

Aria skinęła głową Rivie, skłoniła się nieznacznie Mohunowi i odwróciła się na pięcie, a potem odeszła szybkim krokiem między drzewa, w kierunku zabudowań miejskich.

Rozdział 3

Aria minęła kolejną linię czarnych drzew i wyszła na szeroką ścieżkę prowadzącą prosto do głównego placu Silvaros. Nieważne, jak długo mieszkała już w Czarnym Lesie, widok zabudowań niezmieniał jej dech. Nie pierwszy raz widziała te wszystkie budynki z białego i zielonego marmuru, o kryształowych oknach, z kręconymi schodami i rzeźbionymi w drewnie i kamieniu poręczami i balustradami, nierzadko porośniętymi bluszczem. A mimo to za każdym razem, gdy na nie spoglądała, czuła zachwyt. Widok stolicy elfów chyba nigdy jej się nie znudzi.

Skreśliła na wschód i ruszyła prosto do pałacu arbarosa Landona. Budynek górował nad resztą zabudowań, ale nie przytłaczał. Zdawał się nieodłączną częścią żywego krajobrazu.

Ulice miasta pełne już były mieszkańców. Sądząc po prześwicie słońca między gęstymi koronami drzew, zbliżało się południe. Większość mijanych elfów kłaniała się jej, część posyłała w jej stronę uśmiechy, ale wśród nich były i te elfy, które zdobyły się ledwie na skinienie lub zupełnie ją ignorowały.

Została wychowana w pałacu i dziadek robił, co mógł, by chronić ją od niebezpieczeństwa i przykrości, ale nawet on nie potrafił powstrzymać plotek. A wiele z nich, dotyczących tego, co dzieje się w mieście, docierało do pałacu. Aria doskonale wiedziała, że choćby i teraz, po trzynastu latach, wielu było takich, którzy nie zaakceptowali decyzji arbarosa o sprowadzeniu osieroconej pięciolatki do Vorniros. I nieważne, że chodziło o córkę Likeji, ich ukochanej arbarelesy. Ważne, że była córką Kir-kora, człowieka. Co z tego, że księcia i bratanka ówczesnego króla Esten.

Tak, Aria czasem słyszała szept, ale nikt nigdy nie odważył się powiedzieć jej niczego w twarz. Nikt jej nigdy nie obraził. Elfy za bardzo bały się Landona. Arbaros od stuleci rządził twardą i sprawiedliwą ręką. Jego słowo było prawem. Nikt nie śmiał wystąpić przeciw jego